

# Od zera do bohatera

BR. KAMIL SOCHACKI,  
KAPUCYN

Tak właśnie – trochę butnie, ale „patrzac prawdzie w oczy”, tytułuję tę refleksję poświęconą drodze, którą przebywam, ucząc się języków obcych. W tych kilku spostrzeżeniach chcę się podzielić swoimi sukcesami i błędami, a także tym, co pomogło mi przejść cienką granicę dzielącą nienawiść i miłość do słowa, wyrażanego różnymi językami i kulturami.

**M**oja przygoda z językami rozpoczęła się w szkole podstawowej. Język polski: celujący, angielski: dostateczny – na etapie mojego dzieciństwa czy dorastania nie zwracałem uwagi na zgrzyt w zestawieniu, które było moją rzeczywistością od początku edukacji. Wraz z nabieraniem coraz większej świadomości i wiedzy językowej, zacząłem pytać sam siebie: „Co może być ze mną nie tak?”. Czyżby zdolności gramatyczne, zasób słownictwa czy umiejętności słowotwórcze ujawniały się tylko w języku rodzimym, a w języku obcym już nie? Kochałem język polski: jego literaturę, kulturę, którą wyrażał, poezję. Bardzo lubiłem to uczucie, kiedy niejednokrotnie zaawansowana gramatyka wydawała mi się logiczna, a przez to – przyswajalna. Nie popełniałem błędów ortograficznych; po prostu wiedziałem, „jak to się pisze”. Odkąd pamiętam, „czułem” język. Konsekwencją tego były najlepsze oceny z każdego dyktanda, gramatyki, słowotwórstwa, interpretacji, recytacji i z lektur. Radość rozumienia języka przyćmiewał mi jednak proces uczenia się pierwszego języka obcego. Angielski był dla mnie jak potwór, na którego musiałem patrzeć dwa, czasami trzy razy w tygodniu i z niemal każdej lekcji wychodzić z przekonaniem, że nigdy nie będę zdolny do komunikacji w tym języku. I podczas gdy w polskim rozumiałem wszystko, to w odniesieniu do każdego innego języka przymiotnik „obcy” był bardziej niż adekwatny.

Rodzice oczywiście próbowali ratować sytuację, wysyłając mnie na korepetycje – niestety niewiele to pomagało. Rezultatem tego były dwie myśli, które konsekwentnie zamieszkiwały moją świadomość przez długie lata: ja sam sklasyfikowałem się jako „niezdolny do nauki języków” oraz rozdzieliłem moje zdolności językowe na język polski i języki obce.

## Zaufanie intuicji: klucz Dawida czy syndrom wieży Babel?

Właściwie tylko języki obce były problemem – podobnie było w seminarium duchownym. Na szczęście miałem wyrozumiałych nauczycieli, którzy przyzymkali oko na moje błędy i podciągali oceny ze sprawdzianów oraz kolokwii. Pewnego razu wezwał mnie rektor i powiedział, że nasi bracia z Australii zapraszają Polaków do pomocy i jednoczesnej nauki języka. Zaproponował przy tym, żebym to ja pojechał tam na dwa miesiące. Pomyślałem: „Przezimuję” i wyjechałem. Podczas jednego z kilku przeżywanych tam kryzysów, jeden z moich współbraci poprosił mnie, żebym powiedział, jaki jest według mnie najtrudniejszy język na świecie. Odpowiedziałem: „Chiński” (mojej małomiasteczkowości mogłem chyba przypisać lenistwo do poszerzenia horyzontów kulturowych o rozumienie terminu *mandaryński*).

Reakcja współbrata była dość bezpośrednia: „I pewnie myślisz też, że wśród Chińczyków, którzy posługują się, według ciebie, najtrudniejszym językiem świata, nie ma idiotów?”

Ten wyjazd okazał się dla mnie kluczowy i to bynajmniej nie z powodu oczekiwanych rezultatów „immersji językowej” (po powrocie nadal nie mogłem zdać uniwersyteckiego B2), ale raczej dzięki uzbrojeniu mnie w odpowiednie narzędzia, które mogłem rozwijać przez następne lata. Chyba najistotniejszym punktem było odkrycie zaufania, którym sam siebie mogłem obdarzyć, jeśli chodzi o języki obce, a które od dziecka przecież nosiłem w sobie w odniesieniu do mojego języka ojczystego. Do tego czynnika dołączyła intuicja (od zawsze zresztą obecna), która coraz śmielej podpowiadała mi, czego potrzebuję się nauczyć oraz jakie sytuacje lingwistyczne przytrafiają mi się najczęściej. Jakie czynności najczęściej wyrażam? O jakich rzeczach czy kategoriach osób mówię? Jaki koloryt i cechy nadaję tym rzeczom oraz czynnościom? W jaki sposób chcę o tym wszystkim mówić? Jakim tonem, jakim tempem i z jakim zaangażowaniem? Wszystko to było i jest dla mnie wielką przygodą oraz spotkaniem z samym sobą przy coraz większej świadomości.

Owoce tych zderzeń z rzeczywistością jest zaprzestanie postrzegania przeze mnie języka jako systemu oddzielonego od realnego życia. Jest nim także rosnąca umiejętność twórczego, spersonalizowanego posługiwania się dostępnymi narzędziami, takimi jak podręczniki, podcasty, nagrania, radio, youtube, italki, fiszki itd. Ważne też okazało się odkrycie tych zmysłów i sposobów, za pomocą których najintensywniej odbieram informacje: wzroku, słuchu i ruchu oraz tego, jak je zapamiętuję, jak zadaję pytania oraz czego one dotyczą. To, co chcę spontanicznie wiedzieć, a co pozostaje w nieświadomości, staje się niejako drogowskazem i kluczem do dalszej nauki.

Dzięki doświadczeniu wyjazdu na dłuższy okres poza granice kraju zdałem sobie sprawę, że proste porównania procesu uczenia się dorosłego do tego, jak w nim uczestniczą dzieci, naznaczone są błędem. Dość długo byłem zwolennikiem teorii, że dzieci języka uczą się biernie. Na podstawie moich własnych doświadczeń językowych i kilkuletniej pracy w szkole istotnie zmieniłem zdanie. Zauważyłem, że dzieci mają w pełni rozwiniętą świadomość, która jednak ulega jakościowej zmianie wraz z upływem lat.

Uproszczenie porównania procesu uczenia się dorosłych do dzieci polegałoby więc na postrzeganiu dziecka jako ucznia biernego, w „którego głowę

wkładane są” informacje, tak jakby świadomość była rozwinięta w szczałkowej formie. Błąd dorosłego, chcącego uczyć się języków „naturalnie – jak dzieci” i mającego przy tym za punkt odniesienia powyższą wizję nt. uczenia się małych, polega na zaprzestaniu używania własnej świadomości jako aktywnego narzędzia nauki. Wtedy taka osoba poddaje się określonemu systemowi czy wyjeżdża za granicę, jak gdyby już sam fakt mieszkania poza krajem był gwarantem owocnej nauki. Taka też była moja wizja, która okazała się mieć niewiele wspólnego z rzeczywistością. Dzięki zmianie punktu widzenia, dostrzegłem wartość nauki aktywnej, konstruowanej na świadomości potrzeb i językowej intuicji.

### Moja droga

Ważny okazał się dobór metod nauczania, które testowałem, ucząc się różnych języków. Potwierdziło się to, że nabywanie języka zależy od zmysłu, którym poszukujemy się w przyswajaniu informacji w ogóle. Ciekawe odkrycie czekało mnie bowiem we Francji, gdzie kurs językowy rozpoczęliśmy od indywidualnego testu, plasującego uczestników w określonych kategoriach zapamiętywania. Pomogło mi to zdać sobie sprawę, że tylko w ćwierci jestem wzrokowcem, w jednej piątej – kinestetykiem, a większość moich zdolności zapamiętywania jest wynikiem słuchania. Klasyfikując się, dostałem więc narzędzie, które pozwalało mi wybrać odpowiednie materiały – źródła słuchane tj. podcasty, audycje radiowe, audiobooki czy po prostu rozmowy z rodzimymi użytkownikami danego języka, umożliwianymi przez aplikacje wymiany językowej typu tandem. Oszczędzając więc czas, mogłem realnie obserwować swój progres.

Dalsza ewaluacja dokonywała się przez uświadamianie sobie braków w języku obcym. Źródła, z których korzystałem, pokazywały mi niezrozumiałe elementy gramatyki i słownictwa. Zauważając też, że mam dużo większy problem ze zrozumieniem języka, niż z wyrażaniem się, sięgałem po coraz więcej książek, głównie po literaturę współczesną. Rozmawiając ze znajomymi, zacząłem kłaść większy nacisk na zadawanie pytań i wysłuchiwanie odpowiedzi, zamiast tylko formułować własne opinie.

### Nowy język? Proszę bardzo!

Jeśli chodzi o rozpoczynanie przygody z nowym językiem, to uważam, że na samym początku dobrym rozwiązaniem są intensywne zajęcia twarzą w twarz z nauczycielem. Z tym, że i tutaj potrzebna jest obustronna

świadomość klarownego podziału ról. Nauczyciel – dydaktyk, przewodnik, uczeń – autodydaktyk, autoprzewodnik. Jak pogodzić tę relację dwóch przewodników i uniknąć niepotrzebnych frustracji oraz zwątpienia? Bazą jest obopólne zrozumienie i wzajemne słuchanie się. W moim przypadku indywidualny tutor bardzo dobrze sprawdził się, jeśli chodzi o francuski, gdzie ważna jest wymowa. Nacisk, który nauczyciel kładzie od samego początku na odpowiednią artykulację głosek, pomaga uczniowi uniknąć w przyszłości podwójnego wysiłku poprawiania wyuczonej błędnej wymowy.

Autodydaktyka jest, moim zdaniem, fundamentem w nauce języka. W moim przypadku okazała się niezwykle wartościowa, gdy – mając już za sobą pierwsze potyczki z językami obcymi – rozpocząłem przygodę z włoskim. Wziąłem się najpierw za niezbędne czasowniki – początkowo zaledwie kilka. Perfekcyjna znajomość koniugacji takich wyrazów, jak: być, mieć, iść, móc, chcieć, robić w trzech najczęściej używanych w języku mówionym czasach, pozwoliła mi na samodzielne budowanie prostych zdań. Następnie dodałem do tego znajomość zaimków pytajnych i formuł grzecznościowych. Kolejnym krokiem było stworzenie listy dziesięciu rzeczowników, które przydały się do formułowania zdań z wyuczonymi już czasownikami – szczególnie z takimi, które dotyczą życia codziennego, pracy lub zainteresowań. Następnie poszerzyłem znajomość włoskiego o kilka przymiotników i trzy/cztery przysłówki, nauczyłem się zdań na pamięć, a potem utrwaliłem. Dzięki temu pierwsze godziny intensywnej i świadomej nauki sprawiły mi dużą przyjemność, tym bardziej że ćwiczyłem, posługując się aplikacjami internetowymi, służącymi do wymiany językowej.

### **Etap bieżący: wdzięczność**

Nigdy nie posądzałbym się o to, że z kompletnego „obcojęzykowego” zera, stanę się poliglotą i miłośnikiem języków. Aktualnie jestem misjonarzem i pracuję w Afryce, m.in. nauczając języków obcych... w języku obcym. Są studenci chętni na angielski, polski, a nawet łaćnię! Po francusku więc – który na początku mojej

przygody był nie lada wyzwaniem, mówię o swoich doświadczeniach i przekazuję zdobytą wiedzę. W trudnych warunkach, w których dostępność materiałów jest bardzo ograniczona, nauczanie nie tylko języków, ale także ich metodologii, jest czymś niezwykle ważnym. Potwierdzenie tych słów otrzymuję z każdym uśmiechem zadowolonego ucznia, którego oczy mówią: *Czuje, że mogę to powiedzieć!*

Sam bardzo cieszę się, widząc moje własne postępy w rozumieniu i komunikacji z obcokrajowcami, tym bardziej że dochodzi tu kwestia różnorodnych akcentów i sposobu formułowania myśli, który podkreśla różnicę i bogactwo kultur. Wcześniej myślałem, że do podjęcia konkretnych działań, wynikających z pracy misyjnej, wystarczy mi znajomość „standardowego” używanego we Francji języka. Zasłona opadła mi z oczu tuż po przyjeździe do Gabonu, gdzie obecnie jestem. Spore było moje zdziwienie, gdy podejmując zupełnie podstawowe dialogi, musiałem prosić, aby rozmówca powtórzył, zwolnił, omówił... Musiałem spędzić ok. roku na wsłuchiwanie się w tę inną odmianę starego (znanego mi przecież) języka. Różnice okazały się polegać w dużej mierze na używaniu słów w innych zestawieniach niż te w standardowym francuskim. Efekty tego mogą okazać się zarówno zabawne, jak i co najmniej dwuznaczne, np. we francuskim na określenie słowa maseczka używa się po prostu *masque*, podczas gdy w środkowoafrykańskiej odmianie mówi się na nią *bavette* (fr. śliniak). Jakie było moje zdziwienie na widok policjanta, zadającego mi pytanie, gdzie jest mój śliniaczek?

Podobnych sytuacji zdarza mi się naprawdę wiele, ale stają się one środkiem do nabywania jeszcze większej łatwości i elastyczności w posługiwaniu się językiem: uczą stawiać odpowiednie pytania i słuchać odpowiedzi. Uczą pokory oraz tego, że najważniejszą umiejętnością w komunikacji międzyludzkiej nie są rozwinięte zdolności oratorskie, ale zrozumienie. Na moich oczach dokonuje się rzecz niezwykła: im bardziej świadomie biorę udział w mojej językowo-kulturowej przygodzie, tym bardziej język przestaje być tylko narzędziem, a staje się środkiem porozumienia i określania swojego miejsca w społeczeństwie.